

# DZIENNIK MÓD PARYSKICH

Lwów, 11 marca 1843.

Rok czwarty.

Wychodzi co druga sobota regularnie; do każdego numeru dołączona jest rycina mód paryskich z dokładnym opisem. Kosztuje w mieście półrocznie 5 złr. 15 kr.; catorocznie 10 złr. m. k.; na prowincji dolicza się przesyłka pocztowa do cen powyższych półrocznie 48 kr. m. k. Prenumerować można we wszystkich urzędach pocztowych, tudzież w redakcji pod nrem 301., we Lwowie.

## M O D Y.

Paryż, dnia 25 lutego 1843.

Zdaje się rzeczą pewną że zima już się skończyła, i jesteśmy w wiosnie zupełnej, a ta osobliwość w tym roku przyjęta była tem radośniej, ile że wypadła w porę najweselszych zabaw i uciech karnawałowych. Jest jakieś pokrewieństwo w świeżości wiosennej i strojach balowych, jedno i drugie tem silniejszy sprawuje urok w połączeniu, i tak też dobiega ta najweselsza pora swego kresu, zostawując po sobie woniejący oddech pogodnych ranków wiosennych. Nieobędzie się w nich bez pewnych, jakkolwiek skromnych, lecz nie mniej gustownych strojów przypominających po części stroje pory minioniej i oto je wyszczególniamy.

**Stroje damskie.** Powszechnie bardzo poszukiwane są dziś korunki, blondyny również odzyskały całą swą wartość, toż samo tyczy się korunek złotych i srebrnych. Niektóre fabryki tutejsze przysłużyły się właśnie cudownymi, całkiem nowymi wyrobami tego rodzaju. Niemasz nic piękniejszego nad suknię z tiulu niebieskiego *à la Antoinette* z podwójną spodnicą. Wierzchnia otwarta, od końca stanika począwszy spada w rzęsistych zgięciach po bokach i podpięta jest agrafami z kameliów.

Poszukiwane są także suknie materialne; tkaniny jednakże jednolite mają przed niemi pierwszeństwo; widzieliśmy także kilka sukien atlasowych z podwójną spodnicą, w dwóch kolorach, a to w ten sposób, że wierzchnia naprzykład była jasnoniebieska, spodnia zaś biała. Pierwsza była podniesiona niezbyt znacznie za pomocą podpięcia, składającego się z róży nastrzępianej lub też kamelii z diamentowem wysadze-

niem. Stanik stosowny, wykładany, rękawy z agrafami takiegoż rodzaju. Obszycie z bogatych korunek.

Do takowego stroju nieodbitcie potrzebny doskonały gorset, o jakichesmy już pierwszej donieśli.

Nie potrzebujemy tu dodawać że nasz świat piękny ciągle jeszcze marzy o strojach, że artyści paryscy przemysłiwają nad tysiącznymi nowościami, któremi z nadchodzącą wiosną a raczej w czasie wielkich dni w *Longchamps* popisać się mają i spodziewamy się wcale niebawem udzielić już naszym czytelniczkom niektórych nowości mianowicie co do strojów głowy.

Rycina dzisiejsza przedstawia: suknię z różowej materii, ubranie uspodnicy trzema neszami z tej samej materii; stanik gładki, rękawki krótkie, na głowie ubiorek z siatki srebrnej, tudzież szlafroczek z pekinu bogato robotą szmuklerską ubrany; kapeluszed jedwabny z piórami.

**Stroje męskie.** Rozmaitość i wytworność w strojach rozciąga się tylko do strojów damskich. Męskie zaś wcale się niemi poszczycić niemogą. Są wprawdzie niektóre osobliwości w ubiorze męskim świadczące o pretensjach do elegancji, lecz te się ograniczają na samych prawie drobnostkach, jakoto rękawieczkach, kamizelkach, krawatkach i szalikach lub biżuterii; to gdy wyłączym, wszystko inne zostanie strojem zwykłym; nie osobliwością. Frak jednakże jest strojem niezbędnym do zabaw, nawet najmniej wystawnych. W salonach np. paryskich przyjmują wprawdzie gości w tużurkach; lecz najczęściej usłyszysz w takim razie niby mimowolne określenie: oto ten pan co w tuzurku; zamówił mię ten pan tużurkowy, albo nareszcie: oto idzie ten pan co na ostatniej zabawie ubrany był w tuzurek. Samo chcąc tedy zostawisz po sobie dość długą i nie nader miłą pamiątkę.

Spodnie czarne i biała kamizelka należą do najwytworniejszego stroju.

Rycina przedstawia: frak z kołnierzem krótkim, kłapy szerokie, do dołu wywinęte. Poły jak zwykle, u dołu szersze; patków niemasz. Kamizelka, na jeden rząd guzików dosyć otwarta; spodnie obcisłe. Druga osoba ma twinę angielską, krojem podobnym do paletotsaka, kieszenie zaś tak nisko jak długość ręki wymaga.

## Noc jedna lorda Byrona.

*Dokończenie.*

— Tak za mulnika! odrzekł Byron z goryczą; za człowieka który pilnuje mulów, zgrzeblem je czesze, chędoży, objucza, który na sznurze je wiąże, ściele pod nie barłog i wyrzuca go. O chciałbym być mulnikiem!

— Ja zaś chciałbym być lordem Angielskim; powiedziałby mulnik na twojem miejscu. Jak widzę, to wy panowie poeci jesteście najśmieszniejsi z ludzi. Zdaje wam się, że ponieważ jednego dnia przedadzą piętnaście tysięcy exemplarzy waszego poematu; że, ponieważ macie szczególniejszą zdadność rozmawiania z wiatrami, bałwanami i kwiatami; że wieźy i gwiazdy sprowadzacie na ziemię, i robicie z nich rzecz materialną, dotykając; zdaje wam się mówię, że od północy na południe, od wschodu do zachodu, tak jak daleko wędrują jaskółki, macie prawo do serc wszystkich kobiet; a tu jeden mulnik, proszę co za bezczelna śmiałość przypomina wam, że jesteście tak słabymi jak wszyscy inni ludzie.

— Wiesz co Shelej, mnie się zdaje, że ona uważała moją krótką nogę, odrzucając moje pamiętki; coż tu począć?

— Niechodźć więcej na obiad do Akwila-Nera.

— Nie, ja pójdę i zabiję się pod bramą. Nie śmiej się, bo gotów jestem to uczynić. Jestem aż nadto przesycony życiem, znudzony włócząc się po tym padole nędzy i słuchając do mych uszu dolatujące klaskanie milionów głupców, którzy mnie podziwiają, a ja ich nienawidzę. Nogami zdeptam to życie, ten owoc Judasza składający się tylko z prochu. Ale pierwszej mem przebaczeniem i wspaniałomyślnością zdeptam tę kobietę, która mnie nienawidzi. Oto list który jej chcę posłać.

Poeta wyjął z kieszeni pismo i czytał swemu przyjacielowi mniej więcej te słowa: błagam tylko o jedną chwilę, abyś mie po raz ostatni wysłuchać zechciała. Niepojmuję co za tajemniczy zbieg okoliczności zbliżył nas do siebie. Rozłączymy się każde w in-

ną udając się stronę, bez nadziei spotkania się kiedy w tej wędrowce życia. Ty o mnie zapomniesz jutro; ale ja przysięgam że wspomnieniem zawsze błogosławić cię będę! a jeżeli bóg dozwoli mi wytrwać, będę zawsze zdala od ciebie, modlił się do twojej piękności jak do mamidła najśłodszych i najsmutniejszych dni, które przeżyłem. Bywaj zdrowa! Życzę ci spokojności serca, którąś mi zabrała; raz przecie i ty kochać będziesz: takie jest przeznaczenie wszystkich młodych dziewcząt, czy pierwej czy później. Za złośliwą wzgardę o jedno tylko boga błagać będę: abym nigdy niebył pomszczony. Bądź szczęśliwą, będziesz jeszcze poznawać się i weselić; ale wspomnij czasem że w noc ciemną i smutną ktoś myśli o tobie, czuwa i płacze...

Shelej zanosił się od śmiechu. Daj mi ten list, mówił do Byrona; poszłę go do umieszczenia w jakim dzienniku londyńskim, chcę aby gadano po wszystkich salonach naszego potrójnego królestwa: Znaćcie zapewne dobrze ten narzekający geniusz ukoronowany zatrutym wyziewem piekła, który sierdził się jak szatan, a od śmiechu jego wstrząsnęły się ołtarze; oto teraz słodki jak niewinny baranek, mówi o dobroci boga jak młody żaczek. Potem będą się pytać: I ktożto w nim uczynił tę zmianę? odpowiedzą: Młoda szynkareczka z Florencii!.. A kiedy po całym świecie rozleci się odgłos: Byron chce się zabić! ciekawi zapytają dla kogo? odpowiadać będą z uśmiechem: dla kochanki jednego mulnika. Istotnie warto umrzeć dla podobnego wrażenia. Jeżeli niespuścisz się na swoje pistolety, weź moje; biją doskonale. Małe pociągnięcie a komedia będzie odegrana. *Plausite cives.* Ale niezabijajże się zaraz. Każ jeszcze pierwej przez Muraja przysłać sobie piękny exemplarz swego Manfreda z wyłączeniem brzegami i poszłę go z szumnem poświęceniem Terezy nie w raz z listem, który mi czytałeś. O niezawodnie podbijesz jej serce tak czułem uwielbieniem i wierszami, których nierozumie.

Byron zamyślił się i nie słuchał już słów Sheleja. Przechodził się wolnym krokiem od drzwi do okna od okna, do drzwi. Nareszcie stanął nagle a założywszy ręce nad głowę, zawołał boleśnie z coraz większem uniesieniem: O ty, którą kochałem i Kocham jeszcze, prosta dziewczyno! wiejska! piękna i biała jakby z rąk natury, kwiatku z nad brzegów Arna, rozwity łzami gwiazdek! dla ciebie, gdybyś była chciała, uląbyłbym złotą koronę, wznosiłbym tron brylantowy, byłbym przed tobą padł na kolana i z pomiędzy wszystkich kobiet unieśmiertelnił twe imię. Po wszystkie wieki kochankowie ze wschodem wieżycza wzy-

waliby ciebie. U twoich nóg złożyłbym wszystkie skarby świata, wszystkie skarby ziemi, mój majątek, moję sławę, a wieże w *Neustend* i najpiękniejsze pałace Florencji byłyby twoje, gdybyś zażądała. Uczułem boleść, której jeszcze nieznałem nigdy, choć mniemałem że znam wszystkie. Z piersi moich wyrwałbym skołatane serce dla tej kobiety. O mój przyjacielu! osądź okropność mego cierpienia; ja płakałem. Sheleju, gdy umrę, powiesz przed całym światem że Byron płakał, że ten człowiek nieubłagany, srogi, piekielny, płakał jak żak opuszczony...

Lzy płynęły po twarzy Byrona.

— Żal mi prawdziwie, mówił do niego Shelej, że niemogę w tej chwili płakać z tobą razem; ale to jest słabość moja jeszcze od dzieciństwa, że nigdy najmniejszej łezki w oku mojem niezobaczysz.

— Ty jesteś niedobrym przyjacielem, odrzekł Byron; żartujesz sobie w chwili kiedyś powinien pocieszać cierpiącego przyjaciela. Ja jestem lepszy od ciebie. Gdybym dla posiadania tej kobiety potrzebował twego życia, gdyby mi przyszło zabić cię, zdaje mi się że przecierpiałbyś tę chwilę boleści. Wszak ty byłeś zawsze przy mnie w szczęśliwych i nieszczęśliwych chwilach, ty byłeś niez mordowanym przyjacielem i towarzyszem nienawidzonego poety, wygnanego z kraju! —

Niech żyje miłość! a przypadnie nikiemna przyjaźń!

Byron niemógł więcej wstrzymać wewnętrznej burzy; zaczerwienił się; chodził, zawracał, wziął ze złości piękną starożytną czarę z *lapis lazuli* i cisnął na posadzkę zawoławszy: Tak! gdybym mógł posiadać tę kobietę, potrzaskałbym świat cały tak, jak tę czarę.

John wbiegł zdumiony, aby pozbierać kawałki: Byron przystąpił do niego z złożonemi pięściami.

— Precz Johnie! mówił; uciekaj! moje nerwy wzburzone, gotów jestem udusić kogo.

— Napada się chwilowe szaleństwo, odezwał się spokojnie Shelej i potłukł czarę, która mnie kosztuje sto gwineów.

— Niepowiedzą żem umknął z pobojuwiska, odpowiedział Byron. Każdej nocy sprawię serenadę przed Akwila Nera. Nierozumią wierszy; zrozumieją uniesienia smyczka. Sprowadzę flety, oboje, bębni, klarnety, cymbały, trąby, wielkie bębny, a wrzawę mej miłości usłyszą anieli jeżeli są jacy.

— Ten środek podobałby mi się, ale coż kiedyby przyszła straż nocna, i zabrałaby wszystkich muzykantów.

— Kiedy nie, odrzekł Byron, wezmę moję najpiękniejszą karetę, każę zaprządz sześć koni; podczas pięknego dnia w samo południe wyjadę majestatycznie, wolnym krokiem, na spacer około bramy Akwila Nera, rozparty na atlasowych poduszkach. Terezy-na weźmie mię za króla, uniesie się dumą i pokocha mię.

— Albo nachyli się do swego mulnika, a wskazując cię palcem powie: Oto jedzie ten cudzoziemiec, który tu przychodził; mówił tak uprzejmie, musi być dosyć ciężki, kiedy mu potrzeba sześć koni aby go ciągnęły. — Rozśmieją się z żartu i zaczną naśladować twą mowę. O poeci, ostatnie dzieciuchy i głupszy od najgłupszych! Mnie poncz zaczyna już zawracać głowę. Jednakowo dałbym ci dobrą radę. Tyś się oszukał, pokochałeś kobietę która z tobą niema nic wspólnego. Przybrałeś ją w doskonałości idealne, które tylko istnieją w twojej głowie. Zrobiłeś posąg i uwielbiasz go jak ten głupi w bajce! ta dziewczyna z szynkowni odebrała wychowanie proste, stworzona do gospodarstwa, do kuchni, pójdzie za człowieka, który ją będzie bijał, a przecie go z całej duszy kochać będzie. Dlatego posłuchaj bajki. Razu jednego odleciał orzeł od swego towarzystwa w chęci złowienia królików lub zajęcy dla nakarmienia w gnieździe swych małych orląt. Spuścił się na dziedziniec jednego folwarku, spotkał tam młodą kurę, szanowną z taktem osobę. Orzeł zbliżył się do niej i najpoetyczniejsze zaczął ciąć koperczaki i najgorętsze robić wyznania miłości. Ale kura się obraziła, i niezrozumiała ani jednego wyrazu pięknego jegomości z zakrzywionem dziobem i długimi skrzydłami. Bardziej kochała swego koguta tak lubego w mowie, co tak miłuchno drapał jej skrzydełka pazurkami i tak sztucznie pochlebiał. Orzeł wyleciał na wierzchołek wieży, a ukrywszy między pierze głowę, jęczał i wzdychał okropnie. Czyż kura miała wylecieć za nim? Ona stworzona żyć sobie na dziedzińcu po gospodarsku, między kaczkami i indykami, nieść jaja, wysiadywać młode, wodzić kureczęta pomiędzy pokrzywy i czuwać nad niemi z troskliwością matki. Orzeł jęczał ciągle, narreszcie grzmot zaryczał mu nad karkiem. Orzeł podniósł głowę i wzniosłym krzyknął głosem. Burza wzywała go, poznał on ten głos przyjacielski piorunów, wzbil się nad wiatry, i puścił się na wyścigi z niemi. Tam poleciał odzyskać swoją naturalną skłonność, po nad pagórki, skały, w obliczu słońca! Mój przyjacielu ty jesteś orłem. Nieprawie ci grzeczności, zwłaszcza kiedy się kurę kocha. Zostań w swej ojezyźnie synu wiatrów! w niej znajdziesz dosyć miłości aby ożywić twą duszę, a może ktoś więcej jak

królowa uścisknęła cię w swych ramionach. Zresztą wzgardzona miłość mój przyjacielu niech cię nieoszukuje, nie jest to miłość właściwa, ale miłość własna! —

— Johnie! zawołał Shelej, przynieś drugą flaszkę rumu, i zrób nam jeszcze ponczu.

— Sheleju, mówisz jak adwokat, pięknie bez wątpienia ale nie do rzeczy. Ja niekocham tej kobiety, ale piękność którą bóg rozlał po jej ciele. Piękność, nieodgadniona tajemnica, najcudowniejsze objawienie się boga. Gdyby kobieta dla nas miała być tylko narzędziem zmysłowej rozkoszy, stałaby się chlebem powszednim. Miłość sama byłaby tylko niezaczepną namiętnością; niewiedziałeś nikogo co by się za półmisek kartofli zabijał. Piękność jedynie sprawia że miłość jest najokropniejszym cierpieniem, wywołanym najokropniejszą żądzą. W państwie piękności jesteśmy oмамieni, pokonani, ukorzeni jakbyśmy byli przed obliczem istoty istot; przed nią znika różnica towarzysztwa, wychowania, urodzenia. Ja niestworzyłem tej kobiety, ale zobaczyłem ją i ubóstwiam.

— A więc dobrze poeta! zachowaj tylko wspomnienie tej miłości jak twój pradziadek Dante, a będziesz miał w sobie zasob poetycznego uniesienia; bo lepiej utracić tę kobietę bez jej posiadania, niż pieściwszy w swoich objęciach utracić ją przez nawyknięcie i uprzykrzenie: nasycisz się nią, zaręczam, niespełna w dniach ośmiu.

Byron myślał chwilę i rzekł: Istotnie że może masz słuszość; jutro wyjadę.

— John! zawołał Shelej, przynieś trzecią butelkę rumu i gotuj poncz. Wkrótce zdało się dwom przyjaciołom że meble i posadzka obracają się w około, a usiadłszy jeden na przeciw drugiego, wsparli się na stole prawie dotykając się twarzami. Długo rozprawiali o głębokiej filozofii, a raczej Shelej obszernie wykladał traktat o absolutyzmie. Co zaś w tem było szczególniejszego, to niezawodnie rozwiązanie zagadki: jakim sposobem rozprawiający Shelej zasnął pierwiej, a Byron z otwartymi oczyma rozprawy spiącego słuchał.

Po niejakiem czasie Byron mieszkał w Wenecji. Tam uwiódł prostą dziewczynę, potem ją porzucił, a ona z rozpaczki utopiła się w wielkim kanale. Poźniej udał się do Raweny, gdzie poznał hrabinę *Guiceillo*. Pewnego wieczora kiedy pod rozkwitłemi drzewami cytryny, słuchając szumu bijącej fontany, siedział Byron w ogrodzie, i upojony szczęściem położył głowę na kolanach swej pięknej kochanki, a ona patrząc się na jego wiatrem powiewane włosy siedziała w milczeniu, zaczęła ciężko wdychać.

— I o czemże myślisz mój przyjacielu? zapytała hrabina.

— Myślę o gospodzie *Akwila-Nera*, odpowiedział Byron głosem melancholijnym.

z fr. tł. *F. X. Jaworski*.

## Z Donkarlosa Szyllera.

### Akt I. Scena IV.

Wiejski dom królowej w *Aranzues*. — KRÓLOWA, XIĘŻNICZKA EBOLI, HRABINA MONDEKAROWA, HRABIA POZA.

KRÓLOWA.

Witam cię hrabio, na hiszpańskiej ziemi!

POZA.

Stuszniej się chlubię dziś, niżeli kiedy  
Ze mogę nazwać ojczyzną tę ziemię.

KRÓLOWA do dam.

Pan Pozo! który z ojcem moim w Remie  
Kruszył kopije — trzykroć z zawodu  
Wyszedł zwycięzko z barwami moimi.  
On był najpierwszym z swojego narodu  
Który mi poznać dał, jakato chwata  
Być królową Hiszpanów.

do hrabiego

Mógłżeś wtedy,

Gdyśmy ostatnią razą w Luwrze byli,  
Pomyśleć hrabio, abym cię witała  
Gościem w Kastyli?

POZA.

Nigdy nie myślałem

Aby nam Francja odstąpiła kiedy,  
To jedno, czegośmy jej zazdrościli.

KRÓLOWA.

Dumny Hiszpanie! jedno? i to głosisz  
W oczy Walezych córce?

POZA.

Powiedziałem

Smiało, bo teraz najjaśniejsza pani  
Już jesteś naszą.

KRÓLOWA.

Mówią że w podróży

Francją zwidzałeś. I coż mi przynosisz?  
Szanowna matka moja, i kochani  
Bracia jak się mają?

POZA.

Zdrowię nie służę

Królowej matce; żyje w oddaleniu  
Od wszelkich świata tego przyjemności,  
Prócz; gdy ocórce dostojnej ustyszy.  
Że jest szczęśliwą na hiszpańskim tronie.

KRÓLOWA.

Mogłaby niebyć? przy czułej miłości  
Lubej rodziny, przy słodkiem wspomnieniu  
Chwil... Hrabio! różnes zwidził kraje,  
Widziałeś różnych ludów obyczaje,

A teraz, mówią, chcesz w rodzinnej stronie  
 Żyć sam dla siebie w domowej zaciszy.  
 Większy pan, niżli król Filip na tronie.  
 Filozof! człowiek wolny! — mnie się zdaje  
 Że cię mój hrabio, stolica nie znęci.  
 Dziś Madryt bardzo spokojny, milczący.

POZA.

A to jest właśnie, czem się żaden przecie  
 Kraj w Europie pochwalić nie może.

KRÓLOWA.

Tak powiadają; mnie wyszło z pamięci  
 Wszystko prawie to, co się dzieje w świecie.  
*do księżniczki Eboli*

Ot — tam, podobno hiacynt kwitnący,  
 Księżniczko moja, proszę cię o niego  
*Księżniczka odchodzi po kwiat, królowa mówi z cicha do hrabiego.*  
 Może się mylę, ale mi się zdaje  
 Żeś swym przyjazdem, kogoś na tym dworze  
 Bardzo pocieszył.

POZA.

Zastałem smutnego,

Który w tem życiu, tylko to zamierza  
 Aby...

*Księżniczka Eboli wraca z kwiatem.*

EBOLI.

Pan hrabia zwidził różne kraje,  
 Musi mieć wiele do opowiedzenia  
 Ciekawych bardzo rzeczy.

POZA.

Bez wątpienia!

Wszak przygód szukać, powinność rycerza  
 A zwłaszcza bronić dam siły wszelkimi.

MONDEKAROWA.

Przeciw olbrzymom; dziś olbrzymów niema.

POZA.

Przemoc słabszemu jest olbrzymem zawsze.

KRÓLOWA.

Stusznie, rzekł hrabia, są jeszcze olbrzymy,  
 Ale rycerzy niema.

POZA.

Niedawnemi

Czasy, z Włoch jadąc, czułe wydarzenie  
 I smutnem widział własnymi oczyma,  
 Nawet je nazwać mogę moiemi prawie.  
 Jako przyjaźni święte poruczenie.  
 Gdybym się niebał panię najtaskawszą  
 Opowiadaniem znudzić.

KRÓLOWA.

Nie widzimy,

Nic do wyboru. Księżniczka ciekawie  
 Czeka, i słówka ująć nie dozwoli.  
 Przeto mów hrabio i ja także rada  
 Słucham powieści.

POZA.

Wielkie w Mirandoli

Dwie rodziny, gdy je z mordowała zwada  
 Wiekami idąca od ojców na synów,

Z czasu jeszcze onych Welfów, Gibelinów,  
 Uradziły zgodę wieczystą, spojona  
 Węzłem pokrewieństwa. Wybrano ku temu,  
 Fernanda, synowca Pietra potężnego  
 I boską Matyldę, Kolonnów dziewoję.  
 Nigdy bóg nie stworzył piękniejszych serc dwoje,  
 Ani stosowniejszych jedno dla drugiego.  
 Nigdy świat tak bardzo nie sprzyjał żadnemu  
 Związkowi. Fernando swoją narzeczoną  
 Tylko w wizerunku wietbił do tej pory.  
 O jak drzał Ferdynando, by w rzeczywistości  
 Znaleść, co marzenia wszelkie przewyższało,  
 Co miał za ognistej wyobraźni twory.  
 W Padwie, gdzie się uczył, wyglądał stęskniony  
 Chwili, w którejby mógł, pierwszy hołd miłości  
 Przy stopach Matyldy wyjąkać nieśmiało.

*Królowa uważnie słucha.*

Wtem Pietro zostaje wolnym śmiercią żony,  
 Młodzieńczym zapalem siwa płonie głowa,  
 Łowi uchem wieści brzmiące panny sławą,  
 Jedzie, widzi, kocha. Namijętność nowa  
 Tłumi głos natury. Stryj, o narzeczoną  
 Synowca stara się; i wnet tę nieprawą  
 Zdobyć u ołtarza ślubem poświęcono.

KRÓLOWA.

Coż robi Fernando?

POZA.

Na skrzydłach miłości

Przy świetle gwiazd, strasznej nieświadomy zmiany  
 Gnał do Mirandoli. Rumak bram dopada,  
 Pałac oświetlony; jakieś zgromadzenie!  
 Grzmiały trąby i kotły, wre huczna biesiada!  
 Wybiega na schody, w sali niepoznany  
 Staje. A tam Pietro wśród szumiących gości,  
 Przy nim anioł, anioł Fernandezowi znany,  
 Piękniejszy, jaśniejszy niż nawet gdy we śnie  
 Jawił mu się kiedy. Jedno poglądzenie  
 Co miał, co utracił, wskazało boleśnie.

EBOLI.

Biedny Fernando!

KRÓLOWA.

Na tem koniec przecie

Musi być koniec.

POZA.

Nie! jeszcze nię koniec.

KRÓLOWA.

Podobno mówiesz, że ten nieszczęśliwy  
 Jest twym przyjacielem

POZA.

Najdroższym na świecie!

EBOLI.

Hrabio! kończ powieść.

POZA.

Koniec żałościwy.

Boleść mi sprawia samo przypomnienie,  
 Proszę przebaczyć że już nie dopowiem.

*KRÓLOWA do księżniczki Eboli.*

Może też wolno będzie mi nakoniec  
 Zobaczyć córkę; księżniczko! idź po nią,  
*Eboli odchodzi.*

KRÓLOWA.

Nie o Matyldzie hrabio'ś nie powiadał,  
Może i niewie jakie udrczenie  
Nęka Fernanda?

POZA.

Nikt jeszcze nie zbadat.

Serca Matyldy. Wielkie dusze bowiem  
Choć cierpią, bolu swego nieodstania.

*Poza ogląda się.*

KRÓLOWA.

Coś szukasz hrabio?

POZA.

Mnie się przypomniało

Jakby szczęśliwym był w mojej osobie  
Pewien.... którego tutaj nie wymienię.

KRÓLOWA.

Ktoż winien że nim nie jest?

POZA.

Mogęż śmiało

To tłumaczyć jakbym życzył sobie?  
Znalazłżeby on winy odpuszczenie  
Gdyby tu stanął teraz?

KRÓLOWA.

Święty boże!

Co? teraz? teraz? — do czego to godzi?

POZA.

Możesz on się spodziewać? czyliż może....

KRÓLOWA.

Trwożysz mię hrabio onby...

POZA.

Już przychodzi —

*Jan Podolecki.*

## Pogadanka z panem cześnikiem.

przez

ADAMA GORCZYŃSKIEGO.

Pan cześnik Wenda liczył już na karbie życia siedmdziesiątą kreskę. Zdawało się że przekraczając wysoki próg starości, wziął ze sobą czerstwość młodego wieku, i nie pożegnał się z krzepkiem lat młocianych zdrowiem.

Głowa jego na wysokich barkach wzniesiona porastała czarnym włosem, śnieg starości niebył jeszcze na niej, tylko gdzieniegdzie pojedynczy włos siwszy zabielił się śród kruczej czupryny, podobnie jak w zbożu zielonego kłosa tu i owdzie wybiegnie słomka dojrzała.

Jego twarz miała oczy duże, wypukłe, rysy mocno wydane, szeroko zakrojone, zdawała się być wykuta z granitu, i powleczone tylko śniadym pancerzem skóry. Nie nosił wąsa, nie dał zarastać faworytom; ale ostra ścierń podgolonej brody cisnęła się ze wszystkich porów jego oblicza i naciągała pół twarzy jakimś kolorem granatowym.

Głos jego był gruby, ręka szeroka jak skorupa żółwia, w uścisku zdradzała żelazną siłę tego niezłamanego starością człowieka.

Chodził sobie w sieraczkowym fraku i spodniach w bóty, kamizelki lubił tyfytkowe, w lecie i w zimie skórzanego kaszkieta używał; fajki nie palił, ale był amatorem tabaczki, którą częstował każdego, którą dzielił się ze starym lokajem swoim Jakubem.

Mieszkał sobie w miasteczku, od niepamiętnych czasów w kamienicy pana Ligbera, gdzie miał stancję z dwóch pokojów złożoną, z trzema oknami na ulicę.

Tytułowano go panem cześnikiem, a pokątnie farmazonem przezywano; ale z kąd przyszły do niego obydwie te tytuły, nikt nie wiedział. Tajemnicą było dla publiki miasteczka, jakie właściwie miał zatrudnienie? z kąd pobierał dochody? jakiej skali był jego majątek?

Jadał w traktierni; do registratury sądowej często zaglądał, widywano go także na oralnych procesach. Panów sekretarzy zapraszał do siebie na winko; a było u niego zawsze wino stare, które z kąd się brało, także nikt nie wiedział.

Najczęstszym wszelako gościem u niego bywał pan Zopika dependent, dla którego pan cześnik chował lulkę w swoim domie i po tabak posyłał do ferlagu: dodać potrzeba że raz do roku na świętego Jana Chryzostoma nawidzał cześnika stary x. prałat, z którym miał przyjaźń od szkolnej jeszcze ławki.

Zresztą pan Wenda żył samotnie, zdawał się nie mieć żony ani rodziny, nikogo niewyszczególniał swoim przywiązaniem, przyjaźnią niezaszczycił; białe, kudłate psisko jedynym było współmieszkańcem jego kawalerskiej kwatery, i stary, tabakę zażywający lokaj Jakub generalny sukcesor pańskich fraków, tabakierek i kamizelek.

Stancia cześnika składała się z dwojga pokoi z których jeden mniejszy w czasie zimy miał temperaturę niżej zera, a był składem długiego rzędu butów, lassek, płaszczów i futer, był kredensem i spiżarnią kawalerskiego gospodarstwa.

Stancia druga obszerniejsza, była sypialnią, a razem bawialnią i jadalnią niewymyślnego lokatora.

W jednym rogu miała łóżko pod kilimkiem wąskie, twarde, z żelaznych prętów spojone, przy nim na stoliku papierowa tualetka i inne męskiej gotowalni potrzeby; grzebień, brzytwki, szczotka do włosów, podobna do szczotki, jakiej używają mularze do bienia, nareszcie i pudło blaszane, dawny magazyn pudru, dzisiaj na inny obrócony użytek.

Nad łóżkiem na dwóch haftowanych sercach dwa cebulkowej formy zegarki, dalej wisiała parka pistoletów, a na gwoździu osobnym kołysał się ręcznik biały, długi.

Pomiędzy oknami, było miejsce dla gości: kanapka, plecionka ze swoim stolikiem, na którego okrągłej tablicy dwie ręce ścisnęły się, a pod nimi był napis *amici sic*.

Przy drugiej ścianie, pod obrazem olejnym, czarnym, nad którego znaczeniem nikt sobie głowy niełamał, stała komoda, a na niej rozmaitość złożona z filizanek, kubków, porcelanowych figurek, zimowych jabłek, medalików kilka i kilka bryłek jakiegoś kruszcu, nareszcie cukierniczka na kluczyk zamknięta, i para lichtarzy srebrnych, a w nich żółte woskowe świece.

Całą trzeciej ścianę długość zakrywał wielkiej miary gobelin, a swojemi naturalnej wielkości figurami zdawał się zaludniać pokój i ożywiać go, a rzeczywiście przyciemniał go jeszcze.

Była poobiedna godzina, cześnik z założonemi wtył rękoma przechadzał się wzdłuż izby, nareszcie do obecnego Jakuba odezwał się:

— No jak miarkujesz wasindzi kalafaktorze! będziemy mieli dzisiaj śmietankę do kawy? he?

— Czegoż trzeba, już widzę jegomości wlało znowu na język, to kalafaktorstwo. Jegomości kiedy się chce żartów, to żartować po ludzku; czegoż trzeba, jeszcze jegomości wyrwie się kiedy przy ludziach z tym kalafaktorstwem, to ludzie dokumentnie pomyślą, że ja jeszcze co kalafaktor, czegoż trzeba.

— No miarkujesz wasindzi Jakubie, to wtenczas powiem temu co się zapyta, że to kalafaktorstwo datuje się jeszcze z tych dawnych czasów, kiedy stary Jakub staremu cześnikowi był kondyscypułem, z cześnikiem do jednej chodził klasy, na jednej legał ławce. Jakże? przecież byliśmy razem w Rzeszowie w konwikcie pijarskim.

— Czegoż trzeba (odrzekł Jakub) drapiąc się po siwej czuprynie. Jegomość raczej powiedz, że jegomość był panie zem, a ja paniczowi w piecu palił, na stancii u xiędza Chroszczewskiego.

— A tak, ale czasem i w karceresie zapalił, a niekiedy wypalił gdzie indziej, pamiętkę, która się długo pamiętała.

— Czegoż trzeba, że to jegomość wszystko dokumentnie pamięta, a to jeszcze dawne czasy.

— Dawne, a jednak tak rado przybiegają do pamięci, bo to czasy naszej młodości, szkolnego życia, wieku swobody.

— Czegoż trzeba to i jegomość musi pamiętać

tych paniczów, co stali razem na stancii z jegomością: pana kasztelanica, pana starościca.

— Kasztelaniec Iliński ożenił się z hrabianką Zembocińską, a i staroście Szemeski się ożenił, a oba byli walne chłopaki.

— Czegoż trzeba swawolne, powiedz jegomość, a jak przyszło do examinn z całego kursu....

Oba już poszli tam, na examinn z całego życia przed bogiem. Z całej klasy trzech nas tylko zostało: xiądz prałat, ja drugi, a kalafaktor Jakub trzeci; niedługo czekać i my pójdziemy za naszymi kolegami, a i kalafaktora weźmiemy z sobą.

— Czegoż trzeba, ale ja dokumentnie jegomości proszę o to kalafaktorstwo, bo widzi jegomość, a miło to jegomości że go przezywają farmazonem?

I ta studencina, czegoż trzeba, co to mu jegomość co wtorek daje na papier, a przytem to czapkę kupi, to kamizelkę podaruje z siebie, to wie jegomość że go zamalował w gębę; to dla tego, że byłem niedawno u spowiedzi; wczora przychodzi ten pauper i pyta czy pan farmazon jest w domu? czegoż trzeba, żeby kto inny jeszcze, ale studencina jegomości przezywał farmazonem.

— Zapewne, zapewne (odrzekł cześnik zażywając tabaki).

— Czegoż trzeba (mówił znowu Jakub) bo już dawno chciałem pytać się jegomości o to farmazonstwo. Co im jegomość złego zrobił, że oni jegomości tak przezywają, tym farmazonem; a przecież jegomość i do kościoła chodzi, spowiada się i komunię bierze; czegoż trzeba.

— Tego ja sam niewytłumaczę sobie, miarkuję jednak, że podobno ta będzie racia, że ja sobie żyję samotno, niekomunikuję się z ludźmi, otoż miarkujesz wasindzi Jakubie, ludzie tego nie lubią i radzi się mścić na mnie za to, że niby gardzę nimi. Z dawnych czasów została pomiędzy gminem jakaś niedobra pogłoska o farmazonach, podobało się ludziom obdarzyć mnie tytułem, który w powszechnem mniemaniu ma coś odrażającego; mnie zaś ani świerzbi, ani boli, miarkujesz Jakubie.

— Czegoż trzeba, to przecie miarkuję, że jegomość nie jest farmazonem; boby przecie x. prałat niewdawał się z jegomością; ale że to jegomość kiedy się nieposkarzy o to. Takie wymyślać historie na czło-wiek! bogu duszę winien; czegoż trzeba.

— Trzeba mój Jakubie zapalić świecę bo już w izbie dobrze ciemno.

— Toć niema jak piąta (zarzucił Jakub) na pacierz dopiero dzwonili, palić światło to zawczasu, a ci

mydlarze, czegoż trzeba, to już sami niewiedzą, jak mają drzeć.

— I oni też żyć muszą, miarkujesz Jakubie (odrzekł cześniak) ale tymczasem niezawadzi zapalić świecę, o piątej spodziewam się gościa.

— Czegoż trzeba, tego pana Zopiki co nam zawsze tak nakopci w pokojach. Żeby przymajmniej swój kapciuk nosił, toby może (czegoż trzeba) jegomości mniej kosztował t a b a k, bo by go jegomość niekupował.

— Zda mi się (przerwał cześniak) brama zaskrzypiała, idź Jakubie a poświęć po schodach.

Wyszedł Jakub, a tu leżący na ziemi pinczer głosem szczekaniem zwiastował przybycie obcego człowieka. Cześniak postąpił ku progu, a odganiając chustką cisnącego się ku drzwiom pieska, ujrzał wchodzącego do pokoju młodego Juliusza Szemeskiego.

— Pan dobrodziej kazałaś służyć sobie, zagadał Szemeski.

— Dziękuję, dziękuję że wasindzi chciałeś fatygować się do mojej stancii, mieszkam trochę za daleko, ale u spokojnych ludzi niemogę mówić, żeby tylko chcieli coś łożyć na reparacją, trudno się doprosić, a wasindzi gdzie ma swoją kwaterę?

— Stałem pod kogutkiem, odpowiedział Juliusz.

— A wiem, w samem mieście, żeby tylko wasindzieja nieobkradli, bo o łotra nietrudno. Gdybyś nie wzgardził moją propozycją tobym wasindzieja prosił do siebie; wprawdzie szczupło w mojej chałupce ale przeciebyśmy się pomieścili, mam drugie łóżko, na którym Jakub sypia; no jak miarkujesz?

— Wybacz mi pan dobrodziej że mam tę obawę, ażeby tak mało znany nie naprzykrzał się jemu, przyjmując to jego łaskawe oświadczenie, a dotego niemam zamiaru bawienia długo w mieście; za dni kilka zamierzam wrócić do mojej matki, którą samą zostawiłem.

— A miarkuję, wasindzieja matka żyje jeszcze? To zapytanie boleśne było dla Juliusza i niemal łzawym głosem przemówił.

— Mam nadzieję w bogu, niedopusci na mnie tego nieszczęścia, ażebym miał doświadczyć co to jest sieroctwo.

Czule przemawiasz mój wasindzi, odrzekł cześniak, chwalebę ten jego sentyment synowskiego serca i tem

zamykam, że bóg, który w czwartem przekazaniu polecił nam miłość rodziców odplaci tobie szczęściem za miłość, którą dajesz matce. Godna teżto osoba.

d. n.

### Z Warszawy. Wystąpienie panny Mejer.

Od trzech lat znamy już pannę Mejer. Na naszej scenie rozpoczęła ona swój zawód w tutejszej szkole dramatycznej, kształciła się na artystkę. — Widzieliśmy jej pierwsze kroki na scenie, a te pierwsze próby były szczęśliwe i rokowały nadzieje. Z tem więc większem zajęciem pospieszyliśmy powitać ją po trzechletniej prawie nieobecności. — Przez ten przeciąg czasu panna Mejer grywała po różnych scenach prowincjonalnych, a wkońcu z niemałym powodzeniem występowała na scenie lwowskiej, która bez zaprzeczenia zajmuje pierwsze teraz miejsce po warszawskiej. Trzy lata w zawodzie młodej artystki dopiero wstępującej na pole to wiele; postęp powinien już być widoczny. Z radością przekonaliśmy się, że te trzy lata nie były straconemi dla panny Mejer. Oczekiwania nasze ziszczyły się, i ujrzeliśmy nie powiemy już skończoną artystkę, ale artystkę, która już nie jest dzieckiem, która znaczne uczyniła postępy, i której materialne i moralne siły zarówno rozwinęły się. Dwie role obrała na debiut panna Mejer. W krzyżyku złotym rolę Katarzyny, a w Antonim i Antosiu tej ostatniej. — W obu wiedzieliśmy dawniej jeżeli nas pamięć nie myli, artystki. Pierwsza piękna ale trudna, nawet bardzo trudna łączy w sobie tyle różnych odcieni. Pustota, rzewność, zalotność, moc, zapał, wszystko tam jest zebrane. Katarzyna jest filarem całej sztuki. Druga łatwiejsza, tej cechą jest sama tylko prostota i naiwność. Panna Mejer trudności pierwszej dosyć szczęśliwie zwalczyła; wszystkie odcienia odbiły się w jej grze, życia, czucia było dosyć, swoboda i śmiałość na scenie wielka, znać było, że panna Mejer rozumi to co mówi, że przejmując się różnemi uczuciami i przejściami roli. —

W Antosiu nierównie korzystniej się wydała panna Mejer, i jeżeli mam prawdę powiedzieć, obu tym sztukom wiele grą swoją dodała wartości. — Niezwykła śmiałość połączona z gracją towarzyszącą, wszystkim krokom panny Mejer zapowiadała nam artystkę niepospolitą na przyszłość.